TYGODNIOWY PRZEGLĄD LITERACKI KOŁA • PISARZY • Z • POLSKI

Rok II.Nr.24 /32/ 151 East 67 Street,New York,N.Y. 11.VI. 1942

Do naszych czytelników.

Już ósmy miesiąc wydajemy nasz skromny tygodnik literacki. Pomyślany pierwotnie jako biuletyn prasowy, dostarczający materiałów literackich polskim pismom w Stanach Zjednoczonych, nie spotkał się niestety z oczekiwanem przyjęciem. Nieliczni tylko redaktorzy okazali nam życzliwość i zrozumieli moralną potrzebę przekazywania swoim czytelnikom tworów pióra pisarzy-uchodźców z Polski. Lecz równocześnie z tym rozczarowaniem doświadczyliśmy miłej niespodzianki. Bo oto ponad głowami tych obojętnych redakcji zaczęli zgłaszać się indywidualni abonenci, stęsknieni polskiego słowa literackiego i wrażliwi na powołanie literatury, tak szczególnie podziśdzień doniosłe. Naokoło naszych poczynań skupiła się wierna gromada zwolenników, rozsypana po wszystkich niemal stanach Ameryki Północnej i Kanady, po krajach Ameryki Południowej i Anglii. Z każdym tygodniem zacieśniają się związki serdecznego porozumienia w postaci żywej bezpośredniej korespondencji. Listy otrzymywane od czytelników napawają nas otuchą i umacniają w przekonaniu, że praca nasza nie jest zbędna. Słowa entuzjazmu, dowody serdecznej przychylności i pełne przyjaźni zachęty, by wytrwać w powziętych zamierzeniach - przyjmujemy z głęboką radością, nie ze względu na nas, ale dlatego, iż tylu jest Polaków na emigracji, kochających piękno naszego języka i w nurcie jego melodii szukających szlachetnego wytchnienia. Chwilami mamy odwagę pomyśleć, że tworzymy jakąś rodzinę, jakiś związek o spoistości szczególnej. Oby jego szeregi rosły bezustannie, by służba nasza zakreślała coraz dalsze kręgi.

Zyskaliśmy przeto głębokie przeświadczenie, że musimy wytrwać w imię tych myśli, które nam przeświecają. Nadal będziemy wydawali nasz tygodnik i prosimy naszych zwolenników, by zjednywali nam nowych abonentów. Będziemy w dalszym ciągu usiłowali podtrzymać tę czystą atmosferę bezstronności i rozwagi, by ponad zgiełkliwość bieżącego życia wynosić to, co w narodzie jest istotne, trwałe i najcenniejsze. Bo prawda polska nie jest w słabościach naszych i troskach przyziemnych, lecz w pocie i krwi naszego żołnierza, w serdecznej trwodze matek polskich, w pogardzie śmierci walczącego w kraju chłopca, w duchowych wzlotach naszych poetów i myślicieli.

Zenon Kosidowski

Idy Marca.

Na niebo dotąd czyste nagle płyną chmury
Ponad tłumu oklaski głos się wznosi starca.
Oto rękę wróżącą podnosi do góry,
Woła: "Wielki Cazarze, strzeż się Idów Marca!"

Nad ogród, który marzy w jesiennej tęsknocie
Ptak jakiś podniósł skrzydła gotów do podróży.
Ach! Nie spuszczaj go z wzroku. Może w jego locie
Zobaczysz jakieś znaki, odczytasz co wróży.

Już złota kula słońca za ogród upadła
I niebo nabijają gwiazd srebrzyste ćwieki.
Nie wracaj do pokoju, nie patrz do zwierciadła
I rąk nie składaj w trwodze, wzywając opieki.

To może Twoje gwiazdy nareszcie rozbłysły
I Twoje oto słońce nareszcie zadnieje
... Jeżeli wosk, co teraz na wodę się leje
Na niwecz nie obróci Twe wszystkie zamysły.

Jan Lechoń

Poniedziałek.

Bije dwunasta. Zaczyna się dzień
Mego planety - księżyca.
Wkoło ta sama co zawsze ulica,
Przedemną codzienny mój cień.
Do domu idę w księżycowej smudze,
Ale to nie jest mój dom. Wiem.
Bóg jak do Pawła powie do mnie:
"Twoje życie jest snem
I ja cię z niego obudzę".

Jan Lechoń

"Róża wiatrów" Kazimierza Wierzyńskiego. x/

Pisanie felietonu o poezji prawdziwej, a więc o zjawisku w życiu ludzkim o wiele rzadszym, niż to się przeciętnie przypuszcza, jest dla odpowiedzialnego krytyka aktem, nie pozbawionym kompromisów i dojmują -

x/ Nakładem "Rój in Exile". Skład główny: Polish Book Importing Co, Inc. 38 Union Square, New York, N.Y. Cena wraz z przesyłką: $ 1.25

cych wyrzeczeń. Poezja bowiem, jako wyraz dalekich tajemnic ludzkich, wyposażony w niepowtarzalne rysy osobowości poety, graniczy z czemś zupełnie irracjonalnym. Działając za pomocą środków prawie niemożliwych do odkrycia, jej treść istotna, jej czar medialny i piękno niepokojące jest właśnie w tem, - co zostało niewypowiedziane i przemilczane. Tworzywem poezji są słowa, zszargane przez wargi rozliczne, ale w przedziwnej sztuce ich zestawienia poetyckiego, odzyskują swą prapierwotną, upajającą młodość dźwięku i znaczenia, stają się ciałami radioaktywnymi, wysyłającymi fale niewyrażalnych wzruszeń. Dlatego próba ustalenia kryteriów rzeczowych w ocenie i klasyfikacji poety, jest zawsze rzeczą wątpliwą i zawsze subiektywną. Conrad powiedział, że sztuka jest wezwaniem indywidualnego temperamentu do innych temperamentów, i w tym powiedzeniu uwydatnił nieuleczalną samotność tworzenia i samotność uczuć estetycznych.

Można więc pisać tylko własny pamiętnik lektury i wrażeń, albo też pokusić się o uwydatnienie pewnych cech psychicznych poety, które poza magicznym czarodziejstwem samej poezji zostawiają ślady w surowej fakturze wiersza. W dodatku u poetów popularnych, jakim jest Kazimierz Wierzyński, wypada walczyć z sugestią konwencjonalnych określeń, które przeinaczają oblicze poety. Popularność jest zawsze zniekształceniem i uproszczeniem poety. Przesłania ona to, co u niego jest istotne i jemu zapewne najdroższe. Znawca i rzetelny czytelnik Wierzyńskiego wie, że heroiczna nuta jego twórczości, tak dziś wynoszona w oficjalnych hołdach wywodzi się z drobnego tylko odłamku jego twórczości, wprawdzie popularnego, ale bynajmniej nie najcenniejszego.

Nowy zbiór Kazimierza Wierzyńskiego jest niezbitym tego potwierdzeniem. Autor wystąpił tu w całej swej właściwości intymnego, egocentrycznego liryka, w charakterze senzytywnego artysty poufnego słowa i kronikarza własnych doznań. W tej najsubtelniejszej dziedzinie twórczości poetyckiej osiągnął rzeczy uderzające: wytrawność smaku w stopniowaniu efektów swojego rzemiosła - w połączeniu z żarliwością uczucia i sugestywnością wizji. Jeżeli najwyższe wyniesienie liryki upatrywać będziemy w tem, że na chwilę choćby przelotną przenika nas wiedza o rzeczach niejawnych, że olśniewa nas dziwność istnienia i obecność zaświatów, to Wierzyński nieraz zwycięstwa takie odnosi. Do tych zwycięstw poetyckiej inspiracji zaliczyłbym przedewszystkiem wiersz pod tyt: "Na śmierć Bolesława Leśmiana", gdzie poeta dokonał udanej próby dotarcia do istoty absolutnej poezji i zjawiskowości poety. Są tam strofy, które w dziejach naszych osiągnięć lirycznych pozostaną zapewne pamiętne. W przedziwnym wierszu pod tyt.: "Do przyjaciela" obcość i fantastyczność egzotycznego świata Brazylii oraz bezradne zagubienie się w nim, Wierzyński uwydatnił za pomocą surealistycznej scenerii, jakby wydartej z mirażu sennych majaczeń.

Ale w zakresie tego dogłębnie osobistego liryzmu Wierzyński bynajmniej nie jest jednolity. Mamy tu proteuszową zmienność formy artystycznej, nastroju, tematu i tonu. Skala tych różnic jest nieraz intrygująca, budząca przypuszczenie, że świat poetycki jego wierszy jest raczej dowodem niezmiernie przeczulonego niepokoju, niż wyrazem skrystalizowanej równowagi apolińskiej. W tymże właśnie wibrującym niepokoju mamy pewność, że Wierzyński jest rasowym lirykiem ze wszystkimi wrażliwościami ustroju psychicznego, które dla niego osobiście są przyczyną nieugaszonej melancholii, a dla jego wierszy niewyczerpanym zasobem artystycznej inwencji. Dla czytelnika zaś jest w tem bogactwo niespodzianek i wzruszeń, pełnych awanturniczych zwrotów i zmienności. Jakżesz różne są poprzednio wymienione wiersze w porównaniu z sielankowym prawie, dyskretnym w wyrazie "Porankiem paryskim", gdzie w akwarelowy pejzaż jesienny

jest niedostrzegalnie wtopiony szczegół, zdradzający, że wiersz jest erotykiem. Wszystko jest tu pastelowe w kolorycie, delikatne, wysubtelnione - i ujmująco powściągliwe w uczuciach:

Jesienny w okno napłynął poranek,
Różowo-złoty październik francuski:
Płynie przez pokój żaglami firanek,
Podnosi z krzesła rękawy twej bluzki.

Tego rodzaju kontrastów jest w nowym tomie bezliku. Wiersz patriotyczny: "Ktokolwiek jesteś bez ojczyzny", płynący nurtem dojrzałej, rytmicznej kadencji lub pełne sentymentu i delikatnego uroku wspomnienie Warszawy w "Drodze do domu" - stanowią jakby owoc innego pióra w zestawieniu z "Smiercią nocną", tej koszmarnej, mrocznej halucynacji, tego zawieszenia między śmiercią a życiem w próżni obłędnej melancholii. Poza tem w "Róży wiatrów" znajdujemy wyraźne inklinacje epiczne, osobliwie w poemacie pod tyt: "Pochwała drzew" oraz w wierszu "Podanie z Obidowej". Na tę rozmaitość bynajmniej nie wpłynął fakt, że zbiór składa się z dwuch części: z teki przedwojennej i z okresu wygnańczych wędrówek czasu wojny; Wierzyński pozostał poprzez cały tom tym samym lirykiem,z tą bodaj różnicą, że wiersze patriotyczne i motywy wojenne stanowią tylko zbogacenie tematyki poetyckiej.

Jeżeli tak osobistą i tak skomplikowaną lirykę wolno określić jednym mianownikiem, to nazwałbym ostatni tom Wierzyńskiego poematem żałości przemijania. Ta nieukojona, niepohamowana melancholia i smutek nad znikomością życia i jego powabów snuje się przez większość wierszy,przybierając postać ściszonej medytacji lub też zapala się żarem ostatecznej rozpaczy. W "Balladzie w Oslo" łodzie Wikingów, wystawione w muzeum, wywołują w nim kontemplację nad znikomością wszelkiej żądzy wolności i nad żałosnym końcem wolnych duchów w nieubłaganej śmierci:

Smołą oddycha święta trumna
I jamą patrzy otwór wiosła.
Cóż to za podróż bezrozumna!
Patrzcie, gdzie wolnych was poniosła!

Fiołki w październiku budzą w nim dreszcze tęsknoty za minioną młodością. Ten ból upływającego życia szczególnie przejmująco zaznacza się w wierszu pod tyt: "Do gitarzystów", gdyż przybiera tam tony sarkastycznej autoironii. Poeta świadomie nawiązuje do szczęsnego okresu pierwszych swoich poezji, do naiwno-chłopięcej i radosnej witalności życia - by przypomnieć sobie, że wszystko to już przeminęło bezpowrotnie. Wspomniany poprzednio wiersz "Smierć nocna" bezsprzecznie należy do tej kategorii i jest tych uczuć manifestacją najjaskrawszą. Majaczenia, pełne beznadziejnej melancholii i grozy śmierci, przeżywane w półśnie i w półjawie, - są wstrząsającym, klinicznym objawem jakby fizjologicznego rozkładu młodości.

Odtrąćcie mnie! weź prostą żerdź
I pchnij topielca na głębinę.
W nurt ostateczny, w pełną śmierć,
Na wznak, bez ruchu niech popłynę.

Mało kiedy podkreśla się, że Wierzyński jest w pewnym specjalnym sensie mistykiem i poetą religijnym. Będzie to dla niejednego niespodzianką, ale przecież tych rysów dla zrozumienia jego indywidualności

ponijać nie wolno. Godzi się jednak zaznaczyć, że nieporozumienia w tej mierze są nieuniknione. Pojęcie religijności w twórczości artystycznej jest bowiem beznadziejnie pojemne i nasuwa rozmaite sprzeczne interpretacje. Oczywiście Wierzyński jest poetą zbyt witalnym i zmysłowo zbyt związanym z widzialnością świata, zbyt jego wyobraźnię artystyczną pociągają uroki życia doczesnego, by miał jakieś podobieństwo z przeduchowionymi objawieniami gasnącego Liberta. Zbyt jest niespokojny wewnętrznie, by przypominał modlitewne uciszenie Kasprowicza "Księgi ubogich". Jest zbyt racjonalistyczny, by zbliżał się do mistycznych, nadziemskich snów Micińskiego. Tej religijności nie należy widzieć w stosunku do przyrody, kiedy szuka w niej legendy, krążącej w podziemiach, jest to bowiem raczej tylko poetycki ornament. Jego religijność, w sensie "á rebours", jeżeli wolno tak powiedzieć, jest głęboko pesymistyczna i wyraża się w odczuwaniu metafizycznej grozy śmierci, której obecność zaznacza się w nieodwołalnym nurcie przemijania, w wszechmożnym panowaniu złudzeń i znikomości rzeczy. "Ciasno mi jest na ziemi i pusto wśród gwiazd, co miało mnie wywyższyć, to tylko mnie smuci" - mówi w "Guliwerze". Ten niezaspokojony głód metafizycznej tajemnicy widzimy w kształcie osobistego wyznania w "Modlitwie". W "Konfesjonale" poeta kaja się w obliczu "nocy pustej" i leżąc krzyżem, błaga o rozgrzeszenie:

Nikt nie kłamał ci niecniej,
Niż my w mroku swej zbrodni,
W błędach swych nieobecni
A miłości tak głodni.

Niezmiernie charakterystyczny jest wiersz "El Greco". Wnikając w istotę twórczości wielkiego mistrza z Toledo, Wierzyński pomija walory malarskie, mistrzowski urok rzemiosła, natomiast to co go uderza i fascynuje, to przedewszystkiem wewnętrzny, ascetyczny wyraz mistycyzmu religijnego, średniowieczna egzaltacja pokuty i grzechu. Również tworzywo swego powołania poetyckiego - słowo - wynosi do znaczenia transcendentalnego fenomenu, tkwiącego korzeniami w tajemnicach wieczności.

Tą inklinacją psychiczną należy wyjaśnić sobie inne zjawisko artystyczne, niesłychanie uderzające. W opisie bowiem, stanowiącym tło jego liryki, nie jest właściwie malarzem. Koloryt jego wierszy jest prawie zawsze szary, ograniczający się do nielicznych plam o barwach zgaszonych Są to raczej smętne kolory jesienne, pozbawione żywości. Słońce stacza się oleistą bryłą w jesienny park - oto obraz typowy. Natomiast przyroda żyje u niego przedewszystkiem w zapachach. Ale i tu przeważają wrażenia jesienne. Poprzez większość wierszy snują się wonie suszy i parności, uschniętych ziół i lepkich od żywicy sosen, zbutwiałych liści i cierpkiego czadu wilgoci. Wiersz "Ziemia jesienna" wyjaśni nam wewnętrzny związek tej abnegacji artystycznej z jego panteistycznie odczutą grozą śmierci, jako nieodcyfrowanej zagadki wszelkiego istnienia.

Posiej woń gnicia cierpką i wilgotną,
Przez którą iść napoły we śnie
Nie tak opornie i boleśnie,
Jak gdy się idzie w ciemność bezpowrotną.

Te nielicznie podkreślone aspekty,/a jest ich znacznie więcej/, nowego zbioru Kazimierza Wierzyńskiego pouczają nas o jednym: że poza niewątpliwym mistrzowstwem formy, doprowadzonym, jak np. w wierszu "Fiołki" do finezji niebywałej, mamy do czynienia z indywidualnością niezwykłą, bogatą i wysoce wysubtelnioną, której żywotność twórcza jest w

okresie największego rozkwitu. Dlatego właśnie Kazimierz Wierzyński jest w naszej literaturze zjawiskiem tak odrębnym, a każdy jego nowy zbiór wierszy ewenementem poruszającym, że twórczość jego nie zastyga w formach wykończonych, że w jej niepokoju i nieprzerwanym szukaniu tkwią możliwości wciąż nowych rewelacji. To też również ostatni tom Wierzyńskiego stanowi dla czytelnika przeżycie niezapomniane, a dla naszego uchodźtwa wydarzenie o znaczeniu nieprzeciętnym.

Zenon Kosidowski

O c e a n .

Jest taka nowela Tetmajera: "Ocean". O góralu, który przybył do Ameryki - nie powiodło mu się, jest na dnie nędzy i rozpaczy, tęskni do swoich i oto włóczy się nad brzegiem Nowojorskim, nad oceanem, patrzy na wodę ogromną, która go dzieli od wszystkiego co kocha.

"O woda przeklęta!"

..."I cok ci zrobieł, cok ci zrobieł? Za coz mnie haw trzimies? I coześ taka niemiłosierna i cok ci wej zrobieł?

"Ani cie przeskoczyć, ani do tobie wleść. I kaześ się ta wziena taka i skądeś ty? Hej wodo strasna, okrutna, przeklęta...

"A ocean cichy migotał do gwiazd. Ciepło biło z niego, par. Cichy, wielki, ciepły ocean rozlewał się przed nim w nieskończoność. Spokojny był, senny, głęboki... Hej wodo. Je dyć przecie Bóg w tobie miesko jako i wsedyl. Bo kie je wsedyl to i w tobie musi być. Ba haj... A kie je w tobie, toś ty Boski..."

I góral chciał przejść przez wodę - i zatonął. Ocean jest i dla nas taki, przez który ani przejść, ani przeskoczyć nie możemy. I nas dzieli od wszystkiego co kochamy. Nas, uchodźców. Kiedy wyobrażamy sobie drogę do kraju - to najpierw widzi się nam ta wielka rozlana woda. Rozlana woda, nieczuła i spokojna, choć i czasem echo piekła, odblaski pożarów, straszliwe huki potrafią ten spokój rozedrzeć. Ale do nas nie dochodzą. Stoimy na bezpiecznej ziemi, nad brzegiem wielkiej wody; czegóż bezradni tak okropnie tęsknimy, czemuż taka nam gorzka tułaczka?...

Jest to dla każdego z nas prawdą tak oczywistą, że i mówić nie warto, - jakto serce nasze jest daleko i jak nam po nocach śni się nasz dom spalony, pamiątki pogubione, jak to się śni pochylona nad nami umierająca z głodu twarz matki i poorana kulami twarz brata. Stara piosenka polska z przed stu, dwustu lat. I zmienia się los jedynie na gorsze. I tamci emigranci z przed wieku tęsknili jak my, ale nie mieli za sobą tyle grozy, tak masowej grozy, przeogromnego nieszczęścia włóczącego się za nami w myślach, w całej duszy. Żyjemy tak tu dobrze mimo nieraz ciężkiej walki o byt - szczęśliwi fizycznie i z pogardą dla tej własnej niezasłużonej szczęśliwości i właściwie nieodczuwanej. Bo jakże można jeść spokojnie ten kawałek białego chleba z gardłem pełnym łez.

Wy, Polacy Amerykańscy, nazywacie to nieraz histerią uchodźców. Jakże wam to wytłomaczyć czemu tak jest i dlaczego zrośliśmy się tak bardzo z rodzinną ziemią, że już żyć bez niej nie jesteśmy w stanie...

Nostalgia natężona do najwyższego stopnia staje się ciężką, trudną do pokonania chorobą. Paraliżuje myśli i wolę, a przecie będąc objawem najczystszego uczucia - miłości ziemi - nie jest i nie może być uważana za coś godnego potępienia. Tamtej emigracji, popowstaniowej ludzie

leżeli znękani tą chorobą, nie mogąc dosłownie ruszyć ni ręką ni nogą.
Wydaje mi się, że są takie rodzaje ludzi: - ci, co wrośli w swą ziemię głęboko, każdą kroplą krwi i wszędzie będą wygnańcami po za nią; - ci, co choć z ciężkim sercem opuszczają ją dla chleba, a potem - nie tracąc bynajmniej sentymentu - powoli się do nowych warunków zupełnie przyzwyczajają; zwłaszcza jeśli te wyrunki są w materialnym znaczeniu lepsze, bardzo się z niemi zżywają. Ale po za niemi są jeszcze ci, którym wszystko jedno, gdzie są i gdzie mieszkają i jakiego kraju są obywatelami, choćby i bardzo dobrymi. I jeszcze też tacy, którzy nigdzie nie mieszkają na stałe, ahaswery wieczne, awanturnicy, łaziki i spryciarze, niepozbawieni nieraz artystycznej fantazji, szukający przygód, łatwego zarobku, wiecznie gnani naprzód, niespokojni, szukający dosłownie nowego świata.

Istoty zrośnięte ze swą ziemią wypędza tylko kataklizm, wojna, strach, a najczęściej przypadek. Wiadomo przecie, jak to było teraz i dlaczego zupełnie mimowoli ludzie znaleźli się po za granicami kraju swego. Gnani wskutek wypadków piorunujących i ogólnej psychozy - wciąż naprzód, przed siebie, często idący razem z rozkazami jakiegoś urzędu, czy organizacji, zabijani i mordowani po drodze - najzupełniej niespodzianie stali się wygnańcami. A potem znowuż pędziła ich wojna z miasta do miasta, z kraju do kraju, miesiące, nawet lata upokorzeń, biedy, zgryzoty, lęku i obłędnej gorączki wiz - by wreszcie, przebrnąwszy ocean stanąć szczęśliwie w gościnnej, uśmiechniętej, wolnej Ameryce.

Pokochaliśmy ją za tą wolność, czemuż więc tak trudno nam się przyzwyczaić?

Uczucie, iż od domu rodzinnego dzieli nas nieprzebyte wielkie morze jest tak straszne, że aklimatyzacja nasza staje się postokroć trudniejsza niż dla tych, co z własnej tu przybyli woli, w poszukiwaniu chleba. My chleba nie szukamy, nie jest to naszym celem. Pragniemy znaleźć tylko schron, a w schronie serce, jesteśmy tylko gośćmi, ale szczęśliwi będziemy, jeśli wam, Amerykańskim Polakom będziemy mogli na co się przydać. Czyż nie powinno być zadaniem tej garstki inteligencji polskiej, która uszła rąk zaborców, wydarła się obozom koncentracyjnym i niewoli i znalazła się tutaj, - żeby wam dawała przypomnienie kultury polskiej?

I tu wyrasta jakiś objaw nienaturalny, dziwny, niczem zdawałoby się, istotnym, nieumotywowany. Oto ze strony Amerykańskich Polaków otacza nas niechęć. Dlaczego? Nikomu nic nie zabieramy, a natomiast moglibyśmy być dla was pożyteczni, i jeśli tego zechcecie damy wam chętnie to czego nas uczono w Polsce, podzielimy się z wami dorobkiem kultury.

Ktoś mi mówił, że lękają się tu przybyszów z Polski bo za dużo dawniej przyjeżdżało awanturników, spryciarzy, oszustów. Wyzyskiwali oni dobrą wolę, sentyment do dawno opuszczonego kraju, niegasnący wśród wychodztwa, oszukiwali tych, którzy wyciągali gościnne ramiona. Płatali oni figle, które głęboko zapadły w tutejsze serca, wzbudzając nieufność, niechęć, żal...

Spotykałam się czasem wśród moich, niestety, zbyt rzadkich zetknięć z tutejszą Polonią z pytaniem, dlaczego uchodźcy tak mało się udzielają, "zadzierają nosa". Otóż zawsze twierdziłam, że to nieprawda. Ale jakże mamy do was przyjść? Nie unikamy nikogo, ale czy nas zapraszają, czy się możemy narzucać, czy się nami interesują? A krążą o uchodzcach z ust do ust powtarzane fałszywe opinie, uogólniające jakieś niewłaściwe postępki jednostek i w ten sposób powstają wzajemne rozżalenia, choć bez podstaw właściwych. Mówi się, że uchodźcy nie chcą pracować. Niema w tem prawdy, ale nie można się dziwić, że doszedłszy w swem wykształceniu czy fachu do pewnego poziomu szanowanego niegdyś przez ogół, są zdania, że mogliby być wyzyskani pożytecznie i właściwie. O pracę zresztą, wbrew

ogólnemu przekonaniu, jest trudno, zwłaszcza o pracę dla intelektualisty który nie może być fachowcem w fabryce. Poza tem utrudnia sprawę nieznajomość języka angielskiego, często wiek, zmęczenie, nieraz schorowanie. W fabrykach takich ludzi nie potrzebują, a przecie mają oni wartość, o której nie należy zapominać.

Przyczyny wzajemnych nieporozumień są rozmaite. Z jednej strony zdawałoby się, stosunek człowieka sytego, zdrowego, w wygodnym domu, do niepotrzebnego gościa, za progiem stojącego w przemoczonym ubraniu. Poza tem jakże niezrozumiałe i inne są obyczaje przybyszów, ich zbytnie przeczulenie, ich inne zupełnie wychowanie, wynikające poprostu z ogromnej różnicy między Europą i Ameryką. Ale Amerykanie mogą się porozumieć z uchodźcami wszystkich krajów, a nam tak trudno między nami.

Z drugiej strony istnieje wspomnienie dawnych, przedwojennych zatargów z urzędnikami konsularnymi, faktów poszczególnych, wyjątków, które się znowu niepotrzebnie uogólnia. I żale, wywołane różnicami społecznemi /Jakże kruchemi w istocie./i cywilizacyjnymi w Polsce i zresztą wogóle w Europie, a które w Ameryce prawie że nie istnieją. Przy wspomnieniach o tem, przy wspomnieniach o Polskiej biedzie, zawsze należy myśleć o stuletniej niewoli.

I tak te sprawy stwarzają między nami mur, odwracają od nas wasze serca.

A przecie wiele wieków kultury /jakże wysokiej/ złożyło się na to co nazywamy inteligencją polską i co Niemcy tak programowo tępią. Jeśli Francja zachowa po wojnie swą wielką sławę to zawdzięczać ją będzie swej przez cały świat cenionej, nieśmiertelnej kulturze. Dlatego to jest tak ważne. Tam w kraju inteligenci polscy umierają z głodu lub giną w obozach. Garstka tych co się tu znaleźli potrzebuje opieki, powinna dalej nad sobą pracować, wypowiedzieć się o ile możności. Każdy z nich mógłby dać wiele Polonii Amerykańskiej, gdyby ona tylko się o to zwróciła. Podzielilibyśmy się wszystkiem, co wiemy, to też nie chleba szukamy u was, ale waszej wyciągniętej dłoni. Pomijając zupełnie to, że nie wierzę, żeby cztery miliony Polaków Amerykańskich, braci, nie mogło utrzymać setki naprawdę głodujących uchodźców, pomijając gościnę materialną - prosimy o gościnę serca.

Czułam się bardzo szczęśliwa, kiedy zwróciło się do mnie kółko młodzieży o radę artystyczną, o pomoc przy wydawaniu pisemka, kiedy uczułam, że mogę się na coś przydać. Czuje tak większość uchodźców. I czeka na was.

Nie chcę mówić o jakichś artykułach, wyjątkowych przykrościach, jakie nas niezasłużenie spotkały, w których ktoś zarzuca, że wchodzimy niepotrzebnie z fachową wiedzą między was, tam, gdzie wam wystarczają poczynania amatorskie. Artykuły, w których było tyleż złości, co nieporozumienia. Nie, nie o to chodzi, ale prawdą jest, że wszystko, co się mówi o uchodźcach, wynika z ogólnej i narastającej wciąż niechęci. I w tej niechęci czujemy się tak bardzo samotni.

Kiedy poraz pierwszy po tułaczce usłyszałam polskie słowa na ulicy New Yorku - wzruszyłam się bardzo. Ale wkrótce z wielkim zdziwieniem zrozumiałam, że uchodźców tu nikt nie chce i nie potrzebuje. Życzliwość amerykańska ułatwia nam życie, ale ze strony Amerykańskich Polaków jest tylko mur. Ale przecież te lody w końcu pękną! Jakże to ma być właściwie! - za rok może już, po skończonej wojnie, wrócimy do swoich w Polsce, zachowując tak mało miłych wspomnień o swoich w Ameryce?

Wasz chłód potęguje jeszcze nostalgię. Czujemy się nieraz jak ten góral, co stał nad oceanem:"Hej wrócić! hej wrócić!..O wodo, przeklęta wodo! o wodo, przeklęta wodo! hej wodo strasna, okrutna..."

I może tak niejeden, jak ten góral, wstąpiłby w wielką wodę,

która zamknęłaby się nad nim. Tylko że my chcemy umierać na własnej ziemi, spocząć w nadewszystko ukochanej ziemi. To też jedno jeszcze dziwactwo uchodźców. Że nie jest nam wszystko jedno, gdzie będziemy po śmierci leżeć. Że pragniemy naszego grobu obok ojca i matki... Tak jak ten pies oddany obcym, który biegnie wiele mil, żeby wreszcie skonać u nóg pana.

"Toz to Jedrek Mahojcok z Ratułowa hipnon w to w to morze, coby go niesło ku domu. Haj."

Irena Lorentowicz

Time bomb. Powieść.
Ciąg dalszy.

Miała jeszcze więcej argumentów, ale nic one nie pomagały. Było jej przykro. Bardzo przykro. Leży taki bezwładny i nie może ruszyć się, nie zna języka i nie może nic powiedzieć, a ona...jak jaka Niemka!

Wszystkie trzy były zmartwione.

-I co teraz zrobić?

-Trzeba to jakoś naprawić...

-Ale jak? Przepraszać go nie będę!

-Przepraszać nie, ale coś trzeba powiedzieć...

Może, że powiedziała to "tak tylko"... Bo rzeczywiście powiedziała to prędzej niż pomyślała. Wogóle teraz jakoś wszystko strasznie szybko myślała i mówiła i robiła wszystko. Całkiem nie rozumie, co się jej stało. Nagle jest strasznie zła i odrazu strasznie żałuje, i przykro jej i zaraz potem wesoło... Ale tego wszystkiego on nie zrozumie. Więc może powiedzieć, że ona wcale nie powiedziała zbrodniarz, tylko on źle zrozumiał. Ale w to nie uwierzy, bo widzi jej zmieszanie. Więc może - że chciała powiedzieć głupi, a powiedziało jej się zbrodniarz... Ale to znowu nie pocieszy go. Zaczęła się narada, bo coś trzeba było zrobić koniecznie. Wbił oczy w podłogę, aż przykro patrzeć... Mrs White doradzała coś z Pisma Świętego, ale sama nie wiedziała co.

-Wszystko jedno co - radziła znowu Mrs Karfunkel - on i tak nie pozna, czy to Pismo Święte, czy Talmud. I tak nikt nie zrozumie, co pani powie. Najważniejsze, żeby pani dużo mówiła i uśmiechała się.

Wanda zaciągnęła się głęboko papierosem i po namyśle zaczęła tłumaczyć, że ona nie powiedziała specjalnie o nim, że zbrodniarz... Tylko, że oni wszyscy...Wszyscy Niemcy...A on choćby nie - to także. Bo to właśnie Niemcy wprowadzili zbiorową odpowiedzialność, więc on...Zabrnęła w jakieś okropnie długie zdanie, w którym zgubiła się. Nawet Mrs White nie mogła jej zrozumieć. Tylko Mrs Karfunkel była zadowolona.

-Tak, tak! Bardzo dobrze! Byle dużo mówić i uśmiechać się, a zaraz mu to przejdzie.

-Ale żeby coś z Pisma Świętego - dopominała się Mrs White.

Dla świętego spokoju spróbuje jeszcze z tego Pisma Świętego. Choć już raz próbowała tego w Warszawie i tak się zbłaźniła, że nikomu nie chciałaby opowiadać. Zaczęła z uprzejmym uśmiechem, ale bez wielkiego przekonania.

-Ja nie powiedziałam...ja nie miałam w głowie...to znaczy w myśli, panie poruczniku, że pan jest zbrodniarz taki od urodzenia...Że pan taki szatan...Taki skazany...właściwie potępiony na wieczne wieki...na saecula saeculorum...Rozumie pan?

-Nie - odpowiedział ponuro.

-Teraz znowu nic nie rozumie! - Dała mu pociągnąć papierosa, uśmiechnęła się i brnęła dalej. - Ja mówię że...że pan może polepszyć siebie

jeszcze. Najgorszy grzesznik może się polepszyć...poprawić. Nigdy zapóźno jest, mówi Pismo Swięte. - Wpatrzył się w nią i marszczył brwi, ale wciąż nic nie rozumiał. - Ojej! - westchnęła i znowu zaciągnęła się dymem. - Bo przecie żal za grzechy... i odpuszczenie win... i sakrament spowiedzi...

Podniosła głowę, namyślając się co jeszcze. W drzwiach stał profesor z swoją świtą i słuchał zdziwiony. Załatwił najcięższe wypadki i przyszedł tu na herbatę.

-O! Już zgoda?

-I podała mu pani herbatę?

-Nawet jednym papierosem dzieli się pani!

Teraz dopiero zauważyła, że sama paliła papierosa, który podawała Niemcowi.

-Rzeczywiście...Ojej! Przepraszam...

-I cukier podała mu pani, a nie cyjankali!

Wyszła na skończoną idiotkę i wszyscy bawili się jej kosztem. Po co odgrażała się tak! A jeżeli już się odgrażała, to po co podawała mu tę herbatę i dzieliła się tym papierosem i jeszcze zabrała się do zbawienia jego duszy! Była tak zawstydzona, że wpadła w złość.

-Bo żeby Polacy robili tak jak mówią, nie byłoby ani już jednego Niemca na świecie i byłoby lepiej! Ale to właśnie najgorsze, że my tak nie potrafimy!

Profesor był tak zmęczony,że nie mógł rozprostować krzyża. Stał zgarbiony i nawet jego wiecznie ruchome palce wisiały bezwładnie.Smiech byłby świetnym wypoczynkiem, a właśnie bardzo chciało mu się śmiać z tej dziewczyny,która stała teraz zła,że przyłapali ją na dobrym sercu.Ale była tak zmieszana,że na śmiech nie mógł sobie pozwolić.Tym bardziej,że był w swoim kraju,był tu gospodarzem,a ona gościem.Więc z typowo angielską zdolnością ukrywania śmiechu poważnie pokiwał głową i zrobił bardziej poważną minę niż zwykle.

-Pani obrała bardzo dobrą drogę.Nauka chrześcijańska to dla niemieckiego oficera trucizna gorsza niż cyjankali.

Powiedział to,jakby już cały incydent uważał za skończony i podszedł z Weberem do stołu, gdzie Miss Violet podała im herbatę.

/Ciąg dalszy nastąpi/

Antoni Gwojdziński

Do Nowego Yorku zawitał Arkady Fiedler, znakomity pisarz podróżniczy, którego książki "Ryby śpiewają w Ukayali", "Kanada pachnąca żywicą", "Jutro na Madagaskar" i inne zyskały mu sławę świetnego prozaisty i wnikliwego obserwatora przyrody. Arkady Fiedler napisał ostatnio książkę o bohaterskiej eskadrze 303.